

Kirył Bułyczow - Listy z laboratorium

Moskwa, 18 stycznia 1978 roku

Drogi Wiktorze Siergiejewiczu!

Dawno już do Pana nie pisałam, ale nie z lenistwa, tylko dlatego, że naprawdę nie miałam czasu. Wszyscy nieustannie pracujemy (choć mniej, niż byśmy chcieli) i krzątamy się (bardziej, niż by to nam odpowiadało). W dodatku jesień była dla mnie pechowa. Mama leżała dwa miesiące po ciężkim zapaleniu płuc, potem syn złapał grypę z komplikacjami, najlepsza przyjaciółka rozwiodła się z mężem i prowadziła ze mną wielogodzinne rozmowy o tym, że wszyscy mężczyźni to dranie. Sama to zresztą od dawna podejrzewałam, ale nie potrafiłam tak precyzyjnie sformułować. Tak że z laboratorium pędziłam do sklepów i aptek, a potem zaczynałam kurować moich chorych. A kiedy już wszystkich oporządziłam i pocieszyłam, czułam się tak, jakby mi ktoś wetknął zapalki pod powieki, i marzyłam tylko o tym, żeby parę godzin się przespać. Ale trzeba było zabierać się do roboty - przeważnie głupiej napisać recenzję, przeczytać czyjaś dysertację lub sporządzić sprawozdanie za tak zwany ubiegły okres...

Do chwycenia za pióro skłoniło mnie dziwne zjawisko, które zaobserwowałam parę dni temu. Liczę ogromnie na Pańskie światłe zdanie w tej kwestii.

Z początku pomyślałam, że mam halucynację z przemęczenia... Nie, w ten sposób nic Pan nie zrozumie. Muszę koniecznie wyłożyć prehistorię sprawy.

Otóż trzy lata temu mój mąż był w Indiach, gdzie powodowany nie tyle kaprysem, ile chęcią dorównania kolegom, nabył od myśliwych dwa lemury. Przywiózł je w kieszeniach płaszcza opakowane w czarne woreczki. Lemury pogodziły się z taką dyfamacją i na cle zachowywały się spokojnie.

Z początku te zwierzątka niezwykle mnie rozczuliły. Widać natura umyślnie je tak skonstruowała, pozbawiając wszelkich innych środków obrony przed drapieżnikami. Nie wykluczam, że na widok lori wysmukłego, bo do tego gatunku należeli nasi lokatorzy, ścisła się ze współczucia nawet zatwardziałe serce tygrysa.

Proszę sobie wyobrazić istotkę wielkości wiewiórki bez ogona, pokrytą gęstym, szarym i krótkim futerkiem, z cieniutkimi, pajęczymi rączkami i nóżkami, właśnie rączkami i nóżkami, bo loriki mają zdumiewająco ludzkie paluszki z paznokietkami wielkości milimetra kwadratowego. Dominantą ich zadartonosych pysaczków są gigantyczne czarne ślepia, pełne takiego wyrzutu i pokornego strachu, że goście, obejrzawszy naszych „jeńców”, natychmiast dochodzili do wniosku, że tylko obrzydliwie okrutny brutal może trzymać takie maleństwa w niewoli. Żalosse mamrotanie męża, który bezczelnie utrzymywał, że kupił lemury od myśliwych, którzy łowią je, żeby obdzierać ze skóry (tak zwane futra z małp), że karmimy je, trzymamy w cieple i tak dalej, tylko pogłębiały pogardę dla naszej wstrętnej rodziny.

A we współżyciu te rozczulające maleństwa wcale nie są tak znów urocze. Dnie spędzają na słodkiej drzemce, a z nastaniem ciemności wylazą z klatki i zaczynają buszować po domu lub zawisają w fantastycznych pozach na firankach lub żyrandolu. Żadnych kontaktów z nami, ich właścicielami, nawiązywać sobie nie życzą. Żadnego głaskania i dotykania nie znoszą. Zęby mają liczne, drobne i niezwykle ostre, a w dodatku pokryte zawsze resztkami pożywienia, wskutek czego ukąszenia lori nie goją się całymi tygodniami. Nie na darmo Hindusi z Masore uważają te lemury za jadowite. Żadnej wdzięczności do ludzi nie czują - a nie zaszkodziłaby. Przecież każdą wolną chwilę spędzaliśmy na bazarze lub w gabinetach kierowników sklepów zoologicznych (tam z załącznikami), bo te maleństwa odżywiają się wyłącznie żywymi owadami, a spróbuj tu, człowieku, znaleźć dość żywych owadów w środku moskiewskiej zimy! Karaluchy wprowadzie z domu zniknęły, ale mączniaki rozlały się po mieszkaniu, a w zacisznych kąciach koncertowały zbiegłe świerszcze. W dodatku lori są patologicznie tchórzliwe i nawet ja, chociaż doskonale poznałam ich egoistyczny charakter i niezmierną pychę płynącą ze świadomości, że są najstarszymi ssakami na Ziemi, czasami czułam się głupio, gdy niechcący spojrziałam im w oczy. Lemurki udawały, że wiedzą, po co je trzymam w domu: po prostu specjalnie je tuczę, żeby pożyć. Jeśli nie dzisiaj, to na pewno jeszcze w tym tygodniu. I ostatni kłopot: nie mogliśmy nawet razem wyjść wieczorem z domu, bo ktoś musiał je akurat wtedy nakarmić. Po tym karmieniu rozbiegały się po pokojach polewając żrącym moczem ulubione przez siebie przedmioty i posypując podłogę bobkami. Siedzi sobie człowiek wieczorem, czyta i nagle spostrzega kącikiem oka, jak bezszelestnym cieniem prześlizguje się po podłodze pająk, unosząc do góry futrzaną pupkę. Przemyka się ostrożnie i zezuje na człowieka jednym okiem. Wie doskonale, bo przecież mieszkamy razem od niemal dwóch lat, że nikt go nie ruszy, ale wystarczy poruszyć głowę, żeby znieruchomiał w dzikim przerażeniu, a potem, wybrawszy optymalny wariant ratunku, popędził za firankę...

W zeszłym roku wreszcie tego nie wytrzymałam. Po pewnych, w znacznej części obłudnych, rozterkach zgodziłam się oddać je sympatycznej samotnej panience pod pięćdziesiątkę, która ma własne mieszkanie i dzieli je z kotem, psem i trzema swoimi lemurami. W dodatku mieszka nie w Moskwie, tylko w Kijowie. Zrazu nawet trochę za lori tęskniłam, a ja jakiegoś pół roku temu zgodziłam się pojechać do Kijowa w absolutnie niepotrzebną i szalenie wyczerpującą delegację tylko po to, żeby zobaczyć się z lemurami. Jeden z nich w tym, czasie już nie żył, a drugi mnie nie poznał, chociaż lękliwie wziął z moich palców tłustego robaka - skromny podarunek moskiewskich przyjaciół.

Wiktorze Siergiejewiczu, proszę mi wybaczyć, że zdradziłam mużę epistolografii i zamiast listu napisałam artykuł na temat "Hodowla lori wysmukłych w warunkach domowych". Koniec. Przechodzę do meritum sprawy, czyli do halucynacji.

Kilka nocy temu siedziałam na tapczanie czytając słabą dysertację i zastanawiając się, jak by tu sprytnie wyłgać się od zaszczytu jej recenzowania przy obronie, nie obrażając przy tym śmiertelnie autora, i nagle kącikiem oka, jak za dawnych dobrych czasów, zobaczyłam lori sunącego wolno przez pokój. Lori zauważył moje spojrzenie, znieruchomiał, przycisnął do piersi zaciśniętą w piąstkę rączkę, skulił się z przerażenia... I zniknął. Przetarłam oczy i zrozumiałam, że praca mnie wykończyła, że jeszcze trochę i będę musiała pójść do psychiatry. Minęło dwa dni i znowu to samo. Noc, siedzę na tapczanie, a pośrodku pokoju (tym razem nie wiem już, dlaczego patrzyłam akurat w ten punkt) pojawia się lori, już a priori przerażony, i gapi się na mnie swoimi wielkimi ślipskami. Widzę go absolutnie wyraźnie, do ostatniego włoska, w odległości najwyżej dwóch metrów. Lori widzi, że paskudnie wpadł, robi ze strachu imponującą kałużę i rozplywa się w powietrzu. Jeszcze jedna halucynacja?

Akurat! Kałuża została. Klnę się na wszystkie świętości, że kałuża została! Odruchowo wytarłam ją ścierką i dopiero potem zrozumiałam, że to było zjawisko nadprzyrodzone.

Właśnie wówczas postanowiłam do Pana napisać. Zawsze ze spokojem przyjmował Pan najdziwniejsze nawet przejawy ludzkiego istnienia, usiłując znaleźć racjonalne wytłumaczenie irracjonalnych zjawisk. Niemal zawsze się to Panu udawało.

Drogi Wiktorze Siergiejewiczu, błagam, niechaj nie opuszcza mnie Pan w potrzebie, wejrzy swym pobłażliwym profesorskim wzrokiem w mój nieszczęsny los i zastanowi się łaskawie, co to właściwie mogło być?

A propos, nie wytrzymałam i zadzwoniłam do Kijowa. Nowa właścicielka lorików zawiadomiła mnie ze smutkiem, że nasz ostatni lemur opuścił ten padół na tydzień przed opisanymi przeze mnie wydarzeniami. To znaczy, że nie mógł wrócić do domu jak zbłąkany kocur.

Pańska jak zawsze oddana uczennica

Lera

Moskwa, 19 stycznia 1978

Kochana Rimmo!

Od dawna zbierałam się, żeby do ciebie napisać, ale mam okropnie dużo roboty. Nasza szefica, Kaleria Pietrowna, pisałam ci już o niej, dostała kompletnego hyzia. Nie, jednak zdecydowanie lepiej jest pracować pod kierunkiem mężczyzny, bo współcześni mężczyźni są znacznie subtelniejsi i wyrozumialszy od kobiet, tym bardziej że umiem z nimi postępować. Ale pod innymi względami nasza Kaleria nie jest jeszcze najgorsza. Mimo swego podeszłego wieku i niemodnej fryzury wygląda na zadbaną i niektórym się jeszcze podoba. Ale to jednak okropne, żeby przeżyć trzydziestkę z hakiem i nic z tego życia do tej pory nie mieć! No dobra, skończmy z pracą. Pytałaś mnie, jak układają się moje stosunki z Sanią Dobriakiem. Odpowiadam: rozmaicie. I to z mojej winy. Nie jestem dla niego wystarczająco dobra, a nawet pozwalam sobie na prześmiewki, czego on nie znosi. Przedwczoraj pozwoliłam mu zaprosić się do kina, a tam wpadł na nas niejaki W. (błąd mojej wczesnej młodości). W. przywitał się ze mną, a ja nie widziałam powodu, żeby go ignorować. Sania wściekł się i przez całą drogę do domu się boczył. Kompletna dostojewszczyzna! Czy to moja wina, że natura obdarzyła mnie pociągającym wyglądem? Żeby jeszcze bardziej go rozzłościć, nie pozwoliłam mu pocałować się na dobranoc. Teraz Sania się do mnie nie odzywa. Oczywiście mogę przywrócić nasze stosunki do normy jednym spojrzeniem, ale nie zamierzam tego robić, bo w zasadzie Sania powinien pamiętać, że istnieje masa pretendentów do mego serca. Rozumiesz mnie?

Jak tam twoje sprawy? Wczoraj widziałam w telewizorze, że tam u was jest okropna pogoda. Lękam się, żeby znowu nie doszło do powodzi, chociaż powódź to chyba interesujące zjawisko, prawda? Pływałybyśmy razem motorówką po ulicach i ratowały wspólnie kobiety i dzieci. Macie tam tylu marynarzy, że czasem ci zazdroszczę, chociaż ja przejawiam skłonność raczej do uczonych. W takim naukowcu, nawet początkującym jak Sania, zawsze wyczuwa się powagę i wewnętrzny rozum.

Wybacz, że kończę pisanie. Przyszła Kaleria - niewyspana, oczy zapuchnięte, pewnie znowu pracowała w nocy... Niełatwo jest kobiecie uprawiać naukę! Teraz już patrzy na mnie krzywym okiem, że nie pracuję. Już się biorę do roboty, moja ukochana kierowniczo, już...

Całuję, wkrótce napiszę ciąg dalszy.

Twoja wierna przyjaciółka

Tamara

Leningrad, 24 stycznia roku 1978

Droga Lero!

Czasami trudno mi wprost uwierzyć, że Pani tam u siebie kieruje laboratorium, pisze pracę habilitacyjną, dokonuje odkryć... Zawsze pozostanie Pani dla mnie (skostniały stereotyp rodzicielskiego spojrzenia) tą dziewczyneczką, która po raz pierwszy w życiu umalowała oczy i tym odważnym aktem rozpoczęła studenckie życie. W tym momencie oburzy się Pani i powie, że i dziś jeszcze nie jest stara i nadal piękna, a właściwie o wiele piękniejsza, bo kobiety Pani typu rozkwitają naprawdę około trzydziestki.

Pani list ucieszył mnie i rozbawił. Niezwykle barwnie opisała Pani te lemury, a ja dodatkowo sięgnąłem do Brehma, który, jak się okazało, niewiele o nich wiedział. Za to u Darella znalazłem opis podobnego zwierza. Darell pisze, że lori wysmukłe są już dziś bardzo rzadkie i przypominają mu bokserów, którzy wczoraj ponieśli miażdżącą klęskę na ringu. Taki efekt dają ciemne obwódki futerka wokół oczu i ogólnie smętny wyraz fizjonomii.

Leroczko, jestem głęboko przekonany o zrównoważeniu Pani psychiki, tak że odłóżmy na bok halucynacje, tym bardziej że Pani sama w nie nie wierzy, a ponadto halucynacje nie zostawiają mokrych plam na parkiecie.

Oczywiście można wydumać mnóstwo niezwykle naukowych hipotez na temat tego zjawiska, zwłaszcza opisujących je w kategoriach złudzenia optycznego, a lę mnie osobiście najbardziej pociąga moja własna stara teoryjka. Teoryjka ta już niemal zupełnie została

odstawiona przeze mnie na boczny tor z braku potwierdzających ją faktów, ale kiedy Pani napisała, coś mi zaskoczyło w mózgu i kółka znów zaczęły się kręcić...

Kiedyś, bardzo dawno temu, w notatkach pewnego naturalisty badającego afrykańskie gady natknąłem się na opis dziwnego zjawiska. Owemu naturaliście zdarzyło się obserwować dziwne właściwości jednego z bardzo starych gatunków endemicznej i niezwykle rzadkiej jaszczurki, których to właściwości nie zdołał wytłumaczyć w sposób zadowalający. W wypadku śmiertelnego zagrożenia jaszczurka ta znika, literalnie rozplywa się w powietrzu, aby pojawić się znów po paru sekundach lub minutach. Nikt naturalnie nie potraktował tych obserwacji poważnie, uważając je za majaczenia chorego umysłu, a i sam naturalista, jak mi się wydaje, nie upierał się zbyt przy swoim odkryciu. Relacjonuję to Pani z pamięci, bo książeczka zaginęła mi przed laty podczas którejś z kolejnych przeprowadzek, ale wówczas zacząłem się zastanawiać, co się dzieje z jaszczurkami, jeśli istotnie znikają. Muszą się przemieszczać. Dokąd? Popuściłem wodze fantazji. Istnieją dwa sposoby przemieszczania się: w czasie i w przestrzeni. I nie wiadomo, który z tych dwóch sposobów jest bardziej antynaukowy. Jaszczurki, jak pamiętam, znikaly z klatki lub terrarium, a zatem pokonywały niepokonywalną dla siebie przeszkodę. I robiły to momentalnie. Pojawiały się tak samo momentalnie wewnątrz tej klatki i nigdzie w pobliżu nie dawały się zaobserwować. I wie Pani, Leroczko, że najbardziej podobał mi się wtedy taki pomysł: nie jest wykluczone, że ewolucja bez zastanowienia wyposażyla niektóre ze swoich bezbronnych tworów w taki właśnie mechanizm obronny. Co Pani na to? Przecież ewolucja jest niesłychanie wręcz wynalazcza! Załóżmy, że istnieje pewna korelacja między poziomem stanu nerwowego osobnika wywołanego stanem zagrożenia a wyrazem fizycznym tego stresu. W momencie śmiertelnego niebezpieczeństwa osobnik dokonuje błyskawicznego przemieszczenia się wzdłuż osi czasu, powiedzmy przenosi się w przyszłość. Drapieżnik traci ofiarę z oczu i oddala się, a wówczas niedoszła ofiara spokojnie wraca na miejsce. Nieprawdopodobne? Tak, ja również tak pomyślałem i spokojnie zająłem się innymi, o wiele bardziej prawdopodobnymi problemami, chociaż z początku zamierzałem poświęcić trochę czasu na zbadanie swojej zwariowanej hipotezy. Chciałem nawet szukać królików doświadczalnych - jakichś istot dawno już zastygłych w swojej ewolucji, zabytków świata zwierzęcego, niewielkich i najlepiej słabo uzębionych... Teraz widzę, że lemur, a dokładniej lori wysmukły, jest idealnym obiektem do takich doświadczeń. Dlaczego ten zwierzak nie wymarł, dlaczego nie został wyarty do nogi przez ostatnie kilka milionów lat? Biegać szybko nie umie, odgryźć się porządnie nie potrafi, w ciągu dnia jest praktycznie ślepy i całkowicie bezbronny... i tak dalej.

I oto, proszę sobie wyobrazić, mija wiele lat, a ja dostaję list od byłej ukochanej uczennicy, która - jak się okazuje - zaobserwowała zjawisko w jakiś sposób podobne do tego, nad którym kiedyś się głowiłem. Tyle że zaobserwowała je niejako od drugiego końca. Zjawił się Pani lemur, którego już dawno realnie nie ma. Zjawił się i zniknął. Kuszący, choć na razie jedyny argument na poparcie mojej zwariowanej hipotezy.

Proszę łaskawie przekazać moje najserdeczniejsze pozdrowienia całej swej szanownej rodzinie. Mam nadzieję zobaczyć Panią w Pitrze na marcowej konferencji biofizyków. Chyba wykroi Pani parę dni? Jeśli tak, proszę o mnie nie zapominać i odwiedzić mnie w mojej norze.

Z poważaniem

W. Kostriukow

12 kwietnia 1978

Cześć, Rimula!

Pewnie już o mnie zupełnie zapomniałaś. I miałaś rację. Już niedługo "zakwitną bzy", a ja nawet od miesiąca nie byłam u fryzjera, masz pojęcie? W tych dniach miałam urodziny, dwudziesty jubileusz! I przypomniałam sobie o nich dopiero koło południa, kiedy metka zadzwoniła do laboratorium i zapytała, jakie mam plany na wieczór - zapraszam gości czy sama gdzieś idę? Jakby mi ktoś dał mokrą ścierką w łeb! Wiesz, że mój Sania schudł o trzy kilo? Takie życie, jak mówią Francuzi.

A to wszystko przez naszą Kalerię. Ona naprawdę zwariowała. Jest planowy temat badawczy, są zadania stojące przed naszą nauką, a co my robimy? Szukamy po całym kraju lemurów.

Aha, nie wiesz, co to jest lemur? Lemur to okropnie zabytkowe zwierzę, prawie wymarłe, bo zostało tylko w bardzo tropikalnych krajach. Lemur podobny jest do alkoholika i ciągle śpi, ale tak w ogóle to jest miłutki. Zdobyliśmy nawet dwa, ale karmić ich za nic nie będę, bo one ćpają robaki. Żywe! Przyjeżdżał do nas nauczyciel Kalerii, taki gruby profesor Kostriukow z Leningradu. Wygląda mi na potajemnie zakochanego w Kalerii, bo nawet do laboratorium nie przychodzi bez kwiatów. Powiedziałam Sani: pamiętaj, że jak nie skorzystasz z dobrego przykładu, to dostaniesz dymisję. No i wczoraj przytargał mi bukiet róż co najmniej za dziesięć rubli. Strach pomyśleć, jak on teraz dociągnie do pensji, ale z drugiej strony wrzucił mnie ten jego postępek, chociaż musiałam mu go podpowiedzieć. Myślę, że Sania żywi do mnie prawdziwe uczucie. A jak ty myślisz? Kostriukow gdzie zorganizował dla nas pieniądze i chyba z piętnaście instytutów do pomocy. Telefon się urywa, a te lemury pachną, że nie daj Boże. Dobrze przynajmniej, że pewien wielbiciel (nie pisałam ci o nim, bo to w moim życiu przelotny obłoczek) ofiarował mi w swoim czasie flakon francuskich perfum "Coty" (wiesz, te za czterdzieści rubli buteleczka!), więc polewam się nimi bez umiaru. A Kostriukow przyszedł kiedyś z jednym chemikiem i mówi do niego: "To nasz piękny i niewinny kwiatusek imieniem Tamara. To dziewczę używa wyłącznie perfum Coty'ego". Wyobrażasz sobie, w takim wieku, a perfumy rozróżnia po zapachu! W zeszłym tygodniu przywlekli skądś zdechłego lemura - posłali po niego mojego biednego Sanieczkę. Uciechy było, jakby to był żywy tygrys. Zleciało się ze trzydziestu docentów i wszyscy się na niego gapili, a potem, jak to u nas w nauce się przyjęło, pokroili go na kawałeczki.

Ale nic to, postęp naukowy to siła napędowa, a ja przecież nie jestem w nauce osobą przypadkową. Znajdziemy w lemurze "czynnik T" i dokonamy niewielkiego przewrotu w naukach przyrodniczych (i oczywiście w fizyce, jak się sama domyślasz). Napiszę jeszcze do ciebie, jak znajdę chwilkę czasu. Nie wybierasz się przypadkiem do Moskwy? Pokazałabym ci Kostriukowa. Spodobałby ci się. Zresztą Sania jest o niego zazdrosny. Bez żadnych podstaw.

Ściskam cię, twoja wierna przyjaciółka

Tamara

Moskwa, 23 stycznia 1979 roku

Drogi Wiktorze Siergiejewiczu!

Nasze sprawy wyglądają całkiem źle. Obawiam się, że przegrywamy bitwę. Wczoraj wezwał mnie do siebie Mitrofanow i ostrożnie dał do zrozumienia, że nasz temat badawczy zostanie zlikwidowany, jest mi Pan zatem niezbędny w charakterze ciężkiej artylerii. Zadzwoń Pan do Prezydium Akademii, prawda? Iwan Siemionowicz powiedział mi, że bez pańskiej osobistej rozmowy z Ditiatinem raczej nic nie da się zrobić.

Nowin mało. O wszystkich napisałam Panu w zeszłym tygodniu. Trzynasta seria białych myszy dała wynik stuprocentowo zerowy, chociaż Ciapa (pamięta Pan, to ten duży lori, którego dostaliśmy z Pragi) zademonstrował trzy zniknięcia z rzędu. Pański przyjaciel Sania Dobriak został przedwczorajszej nocy w laboratorium, żeby nie przegapić Ciapy, jeśli przypadkiem zechce mu się wrócić, ale chyba się zdrzemnął, do czego nie chce się przyznać.

Pańska piękna Tamarka przyniosła mu termos kawy, którą z roztargnienia posoliła. Nawet gorący afekt Sani do Tamary nie potrafił skłonić naszego bohatera do odświeżenia się tym nektarem.

No dobrze, piszę o głupstwach, a tu wszystko się wali. Wiktorze Siergiejewiczu, ratunku!

Pańska Lera

Moskwa, 6 lipca 1979

Szanowna Tamaro!

Co słyhać w twoim Suchumi? Opaliłaś się? Okropnie ci zazdroszczę. Marzę o tym, aby spocząć obok ciebie na plaży, wsłuchiwać się w szum fal i wpatrywać się w błękitne niebo. Niestety, mam bogatą wyobraźnię, więc oczyma duszy widzę, jak chodzisz wieczorami na

koncerty estradowe z jakimś muskularnym brunetem. Ale to nic, ja też nie sam zostałem w Moskwie na kanikułę. Siedzimy z Kalerią w opustoszałym instytucie i nadal tyramy za wszystkich.

Pytasz, co u nas nowego? Niewiele. Czynniki T na razie nie chcą działać. Chociaż, jak powiada Kaleria, jaszczurki gekony zachowują się obiecująco. Możliwe...

Ale nie to jest najważniejsze. Rzecz najważniejsza polega na tym, że wczoraj na własne oczy widziałem pojawienie się Ciapy. Kaleria mi nie uwierzyła, a kamery filmowej ze zdziwienia zapomniałem włączyć. Wiesz, kiedy długo się na coś czeka, to już człowiek sam przestaje w to wierzyć. No więc siedziałem sam w laboratorium - Kaleria gdzieś poleciała - i zastanawiałem się, co zrobić: wyprzątnąć klatkę lemurów czy też wyregulować wirówkę - bo przecież wiesz, że ze mnie chłopak co się zowie, złota rączka, nie to, co twój ognisty brunet, który potrafi co najwyżej kupować bilety na koncerty estradowe.

Patrzę na klatkę i widzę trzy lemury zamiast dwóch. Nawet policzyłem je na głos. Trzy. Żywczyk na miejscu, Ciapa na miejscu i jeszcze kto? Jeszcze jeden Ciapa! Klnę się na wszystkie świętości, klnę się na moją miłość do ciebie (w którą nie wierzysz, bo nie jesteś zdolna do uczuć wyższych), że w klatce były dwa Ciapy.

Trwało to ponad minutę. Oba zwierzaki patrzyły na mnie ogłupiałymi śliskami i oba czekały, aż podrucę im po parę ponadplanowych robaków. A potem Ciapa numer dwa zniknęła, a Kaleria urządziła mi dziką awanturę, że nie zarejestrowałem tego fenomenu.

Dziś prawie się do siebie nie odzywamy. Wprawdzie nie znoszę tych jej napoleońskich manier, ale niebawem jej wybaczę, bo jestem wielkoduszny. Jej też nie jest łatwo: myszy nie chcą latać w przyszłość, lemury się nie rejestrują, dyrektor intryguje, a i ja sam nie jestem zbyt zdyscyplinowany.

Toma, nie zapomnij przysłać mi swojej plażowej fotografii, to powieszę ją przy wyciągu zamiast zdjęcia Brigitte Bardot. Brunetowi powiedz, co czeka go od twojego wiernego przyjaciela A. Dobriaka, jeśli nadal będzie się zapominał. Coś mi tu bez ciebie nudno.

Sasza

Moskwa, 21 listopada 1979 roku

Drogi Wiktorze Siergiejewiczu!

Dziękuję za gratulacje, choć rozumiem, że mają one raczej charakter zachęty. Ale gratulacje na wyrost też miło otrzymywać. Co się tyczy mnie (i chyba nie tylko mnie, lecz również tych wszystkich, którzy ze mną pracują), to uczuciem dominującym była pustka. Jakbyśmy biegli za ruszającym pociągami. Dopędziliśmy go, wsiedliśmy do wagonu... A co dalej? Naturalnie

uśmiechnie się Pan teraz i powie: "Co dalej? Dalej trzeba pracować!" Wiem, co Pan powie. W dodatku spośród dwóch naszych ostatnich sukcesów pierwszy właściwie nie jest zasługą naszą, tylko Prozorowa. Bo to on przecież określił skład czynnika T, a my tylko mu pomagaliśmy. Co się zaś tyczy podróży w przyszłość bezimiennej białej myszki, której, jak Pan zapewnia, wdzięczna ludzkość wzniesie kiedyś pomnik, to w tej sprawie obyło się niemal bez Prozorowa.

I wszystko odbyło się tak, jak Pan to sobie wyobrażał. Rzeczą kluczową było precyzyjne dawkowanie preparatu i zastosowanie odpowiednich bodźców psychologicznych (pańska sugestia). Wstrzyknęliśmy nową modyfikację preparatu dwunastu myszom, zaprosiliśmy do współpracy kocura Waśkę, któremu już dawno znudziło się straszyć te nikczemne gryzonie swoim drapieżnym wyglądem, chociaż robi to koncertowo... i jedna z dwunastu myszek zniknęła. Uciekła przed kotem w przyszłość. Triumf, fanfary i szampan na stole. Tak by się wydawało. Od tej pory powtórzyliśmy doświadczenie już sześciokrotnie w identycznych warunkach, a myszy nie chciały zniknąć. Dobrze nam tak! Nie wolno było tak głośno się cieszyć i uważać się za Newtonów, człowiek nie dostałby jabłkiem po głowie. A propos, mamy poważny kłopot - Waśka rzucił się na bezbronno Ciapę. Dopadł go i nieźle poturbował, a zdesperowany lemur pogryzł kocura, ale nie zniknął. Waśka siedzi ze spuchniętym pyskiem i nie pracuje. Ciapa siedzi ze spuchniętą łapką i nie pracuje, piękna Tamara użala się nad Waśką, zwariowany Sania współczuje Ciapie - co doprowadziło do głębokiego rozdzwisku w laboratorium. No cóż, będziemy pracować dalej. Proszę przyjechać, stęskniliśmy się za Panem.

Lera

Moskwa, 27 grudnia 1979

Kochana Rimmo!

Nie masz pojęcia, co się tu u nas działo! Po prostu tragedia optymistyczna! Już myślałam, że tego nie przeżyję, ale jakoś o dziwo przeżyłam. Mój Sania znalazł się na krawędzi fizycznego zniknięcia. To potwór, a nie człowiek. Wiesz, czytałam w pewnym wierszu, że niektórzy lekarze zaszczepiali sobie dżumę z tragicznym skutkiem. Taki właśnie typ, jak się okazuje, mnie tutaj otacza.

Trudno mi wszystko ci wytłumaczyć, bo jesteś, bardzo cię przepraszam, profanem w nauce. Ale chyba pamiętasz; że wyizolowaliśmy czynnik T. Jeśli tego czynnika odpowiednio użyć, to można udać się w przyszłość. Co prawda nie zawsze. Lemury potrafią robić to same, bo czynnik T został im w krwi od urodzenia, ale inne istoty trzeba szczepić tym czynnikiem, a potem porządnie wystraszyć. Na myszy mieliśmy kota Wasię, ale teraz już go nie mamy. Uciekł, bo znudziło mu się straszyć myszy na pusto, bez jedzenia. Potem mieliśmy małpy; rezusy. Z nimi też nie wychodziło na sto procent. W ogóle, jak mówi Kaleria, nasze laboratorium to nie jest miejsce dla ludzi o słabych nerwach. I ma dołąbną rację.

A przedwczoraj mieliśmy okropne wydarzenie. Było tak, że nasz Sanieczonek urządził gorącą dyskusję z Kalerią na temat perspektyw. Jemu, rozumiesz, w nauce i w miłości chciałoby się od razu wszystkiego. Zaczął przekonywać Kalerię, że czas już przechodzić do doświadczeń z ludźmi, z ochotnikami. Kaleria najpierw zaczęła się śmiać, bo, powiada, przed nami jeszcze długie lata uporczywej pracy, zanim będzie można do czegoś takiego przystąpić, a potem... Potem to i ja zaczęłam z Sani żartować, chociaż nie powinnam tego chyba robić, bo on jest okropnie obraźliwy. Potem wszyscy poszliśmy do domu, a on jeszcze został w laboratorium i, jak się okazało, obliczał odpowiednią dawkę, a co najważniejsze - szukał dla siebie właściwego tła emocjonalnego (nie rozumiesz tego, a kiedy nie rozumiesz, to po prostu z łaski swojej opuszczaj niektóre słowa, bo teraz nie mam czasu wszystkiego ci tłumaczyć). Jednym słowem wziął i zużył cały zapas czynnika T-12. Dwanaście, to jest modyfikacja czynnika. Nie pytaj, co to znaczy, bo sama jeszcze nie wiem.

I wczoraj, około jedenastej, kiedy w laboratorium było dosyć dużo ludzi, Sania znów zaczęła się kłócić z Kalerią. Powiedział, że na samej ostrożności daleko się w nauce nie ujedzie. A Kaleria mu na to: "A jeśli przeniesiesz się w przyszłość na sto lat, a tego domu już nie będzie, to co? Zginiesz?" Sania jej odpowiada, że nic podobnego, bo przyroda jest mądra i wysłała lemury niedaleko do przodu i to w dodatku w dobre warunki, gdzie nie ma żadnych drapieżników. Ale wtedy któraś z laborantek powiedziała, że Sanię nie da się niczym przestraszyć, a jak go wysłać w przyszłość, kiedy przestraszyć się nie da? Sania na to uśmiechnął się jak Gioconda i mówi do mnie: "Przynieś mi od Wasi pudełeczko, które dla mnie przygotował". Poszłam do naszego hydraulika, wujaszka Wasi, i pytam go, czy ma pudełeczko dla Sani? Roześmiał się i powiedział, że ma, dał mi pudełeczko i przykazał, żebym nosła ostrożnie i nie otwierała, bo Sania zapłacił mu za to pudełko pięć rubli. Wcale nie miałam zamiaru! Przyleciałam z powrotem i mówię do Sani: "Masz twoje pudełeczko". A Sania wtedy mówi do nas: "Uwaga". Potem wyjmuję ze swojej sportowej torby kask motocyklowy. Wyobrażasz sobie? Wszystko przewidział, a myśmy o niczym nie mieli pojęcia. Wyjmuję i mówi: "Droga Tamaro!" (tak w ogóle, to ja tego zwrotu nie cierpię, ale moment był taki jakiś uroczysty, że tego się nie da opisać słowami). "Otwórz pudełko, które dał ci dla mnie wujaszek Wasia".

Zupełnie jak somnambulik (to taki owad) podeszłam do niego i poczułam drzenie w jego ciele.

"Otwieraj!" - krzyknął Sania. Otworzyłam i z pudełka wyskoczyły naraz trzy wielkie czarne karaluchy. Strasznie się oburzyłam. Tak paskudnie ze mnie zażartować! Rzuciłam pudełko na podłogę i powiedziałam: "Nigdy ci tego nie wybaczę". Żadnej odpowiedzi! Sani nie ma w pokoju! Wszyscy krzyczą: "Ach! Co się stało?" A Kaleria mówi cicho: "Nigdy nie przypuszczałam, że mężczyzna tak boi się karaluchów, że gotów uciec przed nimi w przyszłość". Ja jej odpowiadam: "Niech pani tak nie mówi! Sania uczynił to dla nauki". A Kaleria odpowiada: "Nie chciałam powiedzieć nic złego. Jeśli Sania tak boi się karaluchów, to znaczy że jest człowiekiem bardzo mężnym, skoro z własnej woli naraził się na takie piekielne męki. On jest teraz męczennikiem nauki". Tak właśnie powiedziała: Sania jest męczennikiem nauki.

Od razu zrobiliśmy miejsce po środku laboratorium i zaczęliśmy czekać na powrót Sani. Rozplakałam się, bo się bałam, że coś mu się stanie i nie wróci. Jedna biała mysz przeniosła się w przyszłość i nie wróciła. Ale nie zdążyłam się jak trzeba wypłakać, kiedy Sania wrócił, tyle że dziwnie wyglądał. Wrócił ponury i nawet się nie uśmiechnął, kiedy wszyscy zaczęli

mu gratulować. Kaleria powiedziała, że naganę ma jak w banku. Ja się oburzyłam, podbiegłam do Sani, zaczęłam go pocieszać i mówić, że jest męczennikiem nauki. Ale Sania nie chciał w ogóle ze mną rozmawiać, tylko popatrzył na mnie smutnym wzrokiem i wtedy zobaczyłam rzecz okropną. Wyobraź sobie, Sania miał na policzku straszliwego sińca!... "Uderzyłeś się?" - zapytałam ze strachem. "Nie" odpowiada Sania, odwraca się do Kalerii i mówi: "Gotów jestem ponieść zasłużoną karę". Kaleria zadzwoniła do Prozorowa, inni też przyjechali i teraz nasz Sania siedzi cały oplątany kablami i czujnikami jak kosmiczny pies Łajka, ciągle go tylko mierzą i badają. Nic mu się nie stało, tylko nie chce opowiadać, co mu się w tej przyszłości przydarzyło. I co najpotworniejsze, zupełnie nie chce ze mną rozmawiać. Jakby był rodezyjskim rasistą, a ja uciskaną Murzynką. Gdyby nie był takim bohaterem, to nigdy w życiu bym się z jego powodu tak nie martwiła. Sania ma okropną ranę, a ja cała drzę, że złapie zakażenie krwi. Napiszę jeszcze, wesołego Nowego Roku.

Twoja zgnębiona okolicznościami przyjaciółka

Tamara

Moskwa, 16 lipca 1980 roku

Najmilszy Wiktorze Siergiejewczu!

Nie pisałam do Pana, bo nic szczególnego się, jak dotąd, w naszej nauce nie wydarzyło. Wypłaszamy rezusy i myszki w przyszłość, ale w żaden sposób nie możemy (a kiedy zdołamy?) regulować długości podróży, tak samo zresztą, jak nie udaje się nam wysyłać zwierzaków za każdym razem, kiedy tego zapagniemy. Udaje się albo nie udaje. Dziennikarzy trzymamy na odległość... i nie tracimy nadziei.

Mam jednak pewną ciekawą chyba dla Pana nowinę. Może Pana rozbawi.

Jak Pan pamięta, pół roku temu Sania Dobriak dokonał pożytecznego dla nauki, ale awanturniczego postępu, który kosztował mnie mnóstwo nerwów tudzież niepotrzebnej pisaniny.

W podróży Dobriaka kryły się dwie tajemnice. Pierwszą z nich był wielki siniec na policzku. Gdyby Sania na przykład uderzył się o szafę, nie musiałby przecież tego ukrywać. Druga tajemnica polegała na gwałtownej zmianie stosunku naszego bohatera do Tamary. Dosłownie przestał ją zauważać i wręcz odwracał się, kiedy nieśmiało zbliżała się do niego, wyciągając kocie łapki. I to nie była zimna gra cynicznego podrywacza, bo Sania po prostu do czegoś podobnego nie jest zdolny. Co się zaś tyczy Tamary, to natychmiast śmiertelnie się w nim zadurzyła i czym obojętniej się wobec niej zachowywał, tym goręcej biło jej serce. Wszystkie te tajemnice wyjaśniły się wczoraj.

Zasiedzieliśmy się do późna w laboratorium. Padało, było mrocznie i smutno. Ja coś liczyłam na kalkulatorze, Sania karmił nasze zwierzaki przed wtoczeniem klatki do wiwarium, Nikomu nie pozwala nawet dotknąć lemurów. Weszła Tamara. Zerknęła w moją stronę, ale chyba mnie nawet nie zauważyła. Podeszła do Sani zdecydowanym krokiem człowieka, który postanowił lecieć w kosmos. "Sania - powiedziała muszę ci powiedzieć kilka słów". "Słucham panią" - odparł Sania gapiąc się w klatkę. "Sania, między nami wynikła jakaś tragedia - powiedziała Tamara. - Proszę o wyjaśnienie". "Nie uzyska go pani - odpowiedział Sania. - Nie mamy sobie nic do powiedzenia". "Już mnie nie kochasz"? - zapytała Tamara. "Chciałbym kochać - on na to - ale nie znoszę konkurentów". "Nie masz konkurentów" - powiedziała Tamara i nagle się rozbeczała. Dziewuszka tak długo przygotowywała się do decydującej rozmowy, że widać nerwy miała napięte do ostateczności. "Nie wierzę" - powiedział nieprzystępny Sania. "Ale kto to jest?" zapytała Tamara. "Nie wiem - odparł Sania - ale go widziałem". "Kiedy? - łkała Tamara. - Jeśli masz na myśli tego Gruzina z Suchumi, to tego nie można nazwać uczuciem, a jeśli ma to być Jerychoński z kadr, to mnie zwyczajnie opłotkowali". "Nie - powiedział Sania. To był ktoś inny. Widziałem, jak się obejmowaliście, kiedy podróżowałem w przyszłość". "Ach! - wykrzyknęła Tamara. - To znaczy, że tego jeszcze nie było?" "Nieważne" - powiedział Sania. "Ale przysięgam ci, że kocham tylko ciebie! - zawołała Tamara. - Nigdy nikomu nie mówiłam takich szalonych słów!" "Jakie masz na to dowody?" - zapytał zimny jak głaz Sania. Żal mi się zrobiło smarkuli. Pewnie istotnie nikomu nie wyznawała miłości - po prostu nie zdążyła, bo zbyt szybko robili to za nią jej wielbiciele. "Mam dowody! - wykrzyknęła nasza piękność. - Zgadzasz się choć jutro iść z tobą do urzędu stanu cywilnego. Chcesz się ze mną ożenić? Powiedz, chcesz? A może odważysz się mi odmówić?" Ostatnie słowa Tamary zabrzmiały niczym tragiczny monolog, obliczony na to, żeby usłyszała go publiczność na jaskółce. Nawet odwróciłam się co nich, żeby poprosić o lekkie obniżenie tonu i nie przyciąganie uwagi osób postronnych. Niczego jednak nie powiedziałam, bo zamiast dwóch sylwetek zobaczyłam jedną - Tamara rzuciła się w objęcia Sani, który, rzecz jasna, nie zdołał oprzeć się takiemu frontalnemu atakowi.

I w tej samej chwili od drzwi rozległ się straszliwy ryk: "Nie waż się! Ja ją kocham!" I jeszcze jeden Sania Dobriak rzucił się z pięściami na swego sobowtóra.

I wszystko stało się jasne. Że też Sania podczas swej podróży w czasie musiał natknąć się akurat na samego siebie całującego Tamarę - i to w dodatku w ciemnym laboratorium. Tamarę naturalnie rozpoznał, bo zawsze przecież oglądał ją niejako z zewnątrz. Siebie zaś nie poznał dlatego, że właściwie nigdy z zewnątrz na siebie nie patrzył.

Zrozumiał to chyba również i Sania. Ten Sania, który całował się z Tamarą. Odsunął ukochaną i wystawił przed siebie rękę. Sania, peregrynator w czasie, potknął się o rękę Sani, szczęśliwego kochanka, złapał się za policzek i zniknął.

Sania chodzi dumny jak paw, idiotyczny uśmiech nie opuszcza jego fizjonomii i wszystkim ciekawskim, którzy dowiedzieli się od Tamary o bójce Sani z Sanią, mówi: "Żebyś ty widział, z jaką rozkoszą strzelałem w pysk tego obrzydliwego zazdrośnika!"

Żeby tylko Mitrofanow nie wezwał Sani do siebie i nie urządził mu wykładu o niedopuszczalności stosowania rękoczynów w naszej przodującej instytucji naukowej.

To wszystko. Tęsknimy za Panem.

Nie chciałby Pan kopnąć się w przyszłość?

Pańska Lera